

Teksty Drugie 2001, 3-4, s. 251-256



Refleksje warszawskie

Czesław Miłosz

Czesław MIŁOSZ

Refleksje warszawskie¹

Jest naturalną tendencją mówić dzisiaj o tym, co było najważniejsze w życiu Warszawy – o jej bohaterskiej walce. Historia z rudy tysiącznych, sprzecznych nieraz działań ludzkich wytapia metal na posągi – i tak być powinno, jest w tym sprawiedliwość dziejów. Poznawać jednak winniśmy i rudę codziennego życia, złożoną z odwagi i wahań, ze strachu i błędzeń. Jak tyłu z nas, próbuję wejrzeć w lata przeżyte w Warszawie. Zatrzymuję się na razie na sprawie życia umysłowego, staram się określić, jakim zmianom ulegało ono pod naciskiem wypadków.

Wbrew temu, co sądziliśmy, doznawszy wrześniowego wstrząsu, wrzesień 1939 nie przyniósł przełomu. Chaos, w jakim znalazła się Europa, staczająca się ku wojnie, trwał dalej, zyskał tylko nową oprawę. Powoli dopiero krystalizowały się nowe zespoły sądów i pojęć. Ten proces był hamowany przez różnorodne okoliczności. Pod wpływem klęski powstała potężna instytucja: cenzura narodowa, cenzura opinii publicznej. Ludzi dzielono na dwa gatunki: dobrych Polaków i złych Polaków. Tak jak przed wrześniem, mówiono i teraz: nie pora na porachunki, nie pora na osądzanie polityki rządu, jesteśmy dzisiaj tylko Polakami. Próby krytycyzmu i samodzielnego myślenia dosięgały obwodu koła nakreślonego święconą kredą i tam rozpyływały się w niejasny, mglisty kontur niewiadomej przyszłości.

Potęgował się nacjonalizm – tępienie polskości przez nacjonalizm Hitlera wywoływało kult polskości jako takiej, bez oglądania się, jaka ma być ona, na czym oparta. Brak dyscypliny intelektualnej, tak znamienny dla „czasów pogardy” sprawiał, że widziano wrogów w Niemczech, ale nie widziano dość jasno tych historycznych i filozoficznych przesłanek, które posłużyły im do ukucia narzędzi ucisku. Poza tym – Warszawa była odcięta od świata. Żyła książkami, które ukazały się

^{1/} Rękopis niniejszego tekstu znajduje się w zbiorach Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, nr inw. 1631. Przygotowując artykuł do druku, zachowaliśmy częściowo pisownię oryginalną. <http://rcin.org.pl>

przed wojną – kiedy to autorzy nawet najlepszej woli nie mogli przezwyciężyć mglistej atmosfery i używali aluzji, nieraz mimowolnych. Nie jest przyjemnie pisać te słowa. Ale to dopiero pozwala ocenić wielkość oporów. Taką była cena kłęski: jedność narodowa, zacieranie różnic i przeciwieństw wewnątrz narodu, które przecież jedynie decydują o jego rozwoju.

Zawsze muszę pamięcią wracać do pewnej grupy młodzieży literackiej, wydającej na powielaczu pismo „Sztuka i Naród”. Było to złe pismo, choć autorzy nie bez talentu. Myślę o nim, bo staje mi się ono skróttem, w którym wyrażają się, splecione nierozzerwalnie, głupota i bohaterstwo, znieprawienie i najczystsza ofiara. Kiedy wojna wybuchła, ci chłopcy mieli po 15 – 16 lat. Matura, tajny uniwersytet, praca w konspiracji. Byli wśród nich początkujący poeci, prozaicy, publicyści. Dorwali się do książek, w swoich artykułach wstępnych budowali programy. Kogóż obierali za patronów? Naturalnie Brzozowskiego, który był najpopularniejszym pisarzem w okresie okupacji. Brzozowskiego – który łatwo może stać się mieczem w rękę szalonych, bo swoją ruchliwość umysłową oddawał nieraz na usługi irracjonalizmu i głosił to, co podjęli później teoretycy Dachau i Oświęcimia.

Młodzi ludzie odkrywali Bergsona, nie tylko! odgrzebywali nawet Barrésa. Że od Bergsonowskiego „*elan vital*” do ideologii niemieckiego lotnika czy gestapowca jest jeden krok – nie rozumieli. Kiedy im się mówiło, że są faszystami, uśmiechali się z odcieniem wyższości. Nie rozumieli. Byli czyści, szlachetni i ofiarni. Pierwszy ich redaktor zginął w którymś z obozów koncentracyjnych. Drugi redaktor, młody prozaik Bojarski, umarł z ran odniesionych w czasie demonstracji, jaką ta grupka urządziła przed pomnikiem Kopernika: w biały dzień przynieśli wieniec z barwami narodowymi, chcąc zamanifestować polskość astronoma... W następnym numerze ukazało się piękne wspomnienie o przyjacielu, napisane przez naczelnego ich publicystę, Trzebińskiego. Nie upłynął miesiąc, a Trzebiński został rozstrzelany w egzekucji publicznej na Nowym Świecie. Poeci Topornicki i Chmura zginęli prawdopodobnie w powstaniu.

W dziejach i zagładzie tej grupy widzę coś więcej niż przypadek. Jest w tym tchnienie Nemezis – ale zarazem i coś, co dla każdego Polaka jest wyrzutem sumienia. Ci synowie robotników z Marymontu i ubogich inteligentów, ci młodzi ludzie w kusych paletkach i łatanych drelichach mogli przecież zdobyć to, czego nie zdobyli nigdy – świadomość celu, wizję trafną, poczucie umysłowego panowania nad materią.

A jak było z ich profesorami, z intelektualistami Warszawy? Dlaczego tak popularny był Brzozowski? Bo, pomimo wszystko, myślenie historyczne pasjonuje ludzi naszego stulecia. Tylko jakie myślenie? Z tego samego powodu popularny był Bierdiajew i Maritain: i jeden, i drugi przyswoili sobie metodę historyczną, uży-

wając jej do religijnych celów. Dziwne zbieżności: w 1943 ukazała się nielegalna książka R. Jadźwina *Skąd i dokąd idziemy*. Czytając ją, miało się wrażenie, że czyta się książkę Bierdiajewa *Smysł historii* wydaną w 1919. Książka *Skąd i dokąd idziemy* jest pod każdym względem znamienna dla okupowanej Warszawy. Autor przebiega historię XIX wieku, szuka tzw. wielkich linii ideowych, przyczyna na końcu każdej z tych linii widzi wynaturzenia, wykrzywienia, deformacje. Szuka środków, jak te wynaturzenia usunąć, i znajduje – w złagodzeniu jaskrawości przez zacerpnięcie z prądów przeciwnych. W ten sposób cały proces historyczny przedstawia się jako rodzaj kalejdoskopu, który za potrząśnięciem daje takie lub inne kombinacje. Sprzeczności mogą być usunięte, ponieważ istnieją one wyłącznie w sferze rozwijających się tak czy inaczej idei. Nad całą książką unosi się, jak duch nad wodami, tęsknota do powrotu ze szlaków złej cywilizacji, znużenie okrucieństwem i bezcelową walką człowieka z człowiekiem. Wzruszająca dobroć i irytująca bezradność. Jeden krok naprzód i natychmiast jeden krok w tył.

Podobnie myśleli wszyscy ci (a było ich mnóstwo), którzy nazywali siebie personalistami (słowo to miało inny wydźwięk w Polsce niż we Francji). Występując w obronie osobowości ludzkiej, nie chcieli faszyzmu, ale nie chcieli i demokracji. Pragnęli stworzyć coś nadrzędnego, co nie byłoby ani jednym, ani drugim. Nie doceniali konieczności wyboru. I, jak zwykle bywa z filozofami – mocne łańcuchy wiązały ich dzieło z losem ich współobywateli. Z kart, zapisanych przez tych czujących ludzi, chcących historię przenieść od razu w wymiar niebieski, biegło słowo, które wiodło ku wypełnieniu się losów Warszawy. Tak w praktyce bowiem wyglądać musi zapoznanie przeciwieństw.

Kiedy spotkałem się z moimi przyjaciółmi, przybyłymi w szeregach Wojska Polskiego ze wschodu, zauważyłem, jak inaczej ukształtowało nas te pięć lat. Nie dostrzegłem w nich zaciekleści, jadowitości, rozdrażnienia ani ironii – tego, co dostrzegam zarówno w sobie, jak w moich warszawskich przyjaciółach. Trzeba jednak zrozumieć, że my musieliśmy się bronić. Chcieliśmy ocaleć – a ocalenie było trudne. Dzisiaj chodzi po ulicach miast wielu ludzi, którzy ocalili tylko fizycznie – życie w reżimie hitlerowskim sparaliżowało im wolę albo wprowadziło zupełne zamieszanie w ich umyśle.

Nasza obrona polegała na fanatycznym tropieniu w tradycji polskiej i europejskiej tych przesłanek filozoficznych, które posłużyły za motywację świadomym zbrodniarzom i ich mimowolnym pomocnikom. Piszący te słowa śledził powstawanie kultu ślepej woli i „nagiętego życia” już u Stendhala, którego Nietzsche był wielbicielem, a potem u André Gide’a i Bergsona. Pragmatystyczne pomysły James’a i Wehlingera, prowadzące ku tak miłej sanatoriom teorii mitów, też wywoływały ostry sprzeciw. Zgryźliwie ocenialiśmy polski romantyzm i Żeromskiego – za rozbuchanie emocjonalne, za styl staczający się ku rozpadowi języka, za ciągłą eksploatację subiektywnej szlachetności. Romantyzm drażnił nas, jako załamane ciągi humanizmu od Renesansu po wiek XVIII, jako metoda pisania bez cu-

dzyslowu. Drażniła nas tak samo psychologiczna literatura współczesna. Widzę mojego przyjaciela, jak któregoś mglistego dnia, kiedy na ulicach szalała łapanka, ciska na ziemię *Ostrze na ostrze* Huxleya, jakby go parzyło, i krzyczy ze wstrętem: „nieczysty! nieczysty! bydlę!”.

Ci, którzy nie obcowali z romantyczną cenzurą narodową Warszawy, którzy nie widzieli spustoszeń umysłowych, dokonanych przez irracjonalno-romantyczne myślenie – przygarną całą tradycję romantyczną, nadając jej nowy, wielki sens. Przygarną i Żeromskiego, kładąc w nim nacisk na sprawy inne niż erotyczno-patriotyczne męczeństwo. My przyznamy im słuszność, zachowując dla siebie odrobinę nieufności.

Jeszcze jedną cechę spostrzegłem w „literatach z Lublina”. Powagę. Utwory ich są poważne, są na miarę wypadków. Ta sama powaga w artykułach, w organizowaniu życia literackiego. Istnienie tych ludzi poważnych dobrze wróży rozwojowi kultury w Polsce.

Inne było środowisko literackie warszawskie. Zawsze zjadliwe, ironiczne, niemal frywolne – i to nawet w chwilach największego nasilenia terroru. Da się to częściowo wytłumaczyć przez działającą na zewnątrz i wewnątrz każdego z piszących cenzurę obowiązków doraźnych i przez próby rozluźnienia jej chociaż na chwilę. Ale są i inne wytłumaczenia. Ulica warszawska zachowywała się przecież podobnie. Łapanki, egzekucje przechodziły jak deszcz – i znów mrowiły się tłumy, pary śpieszyły na *rendez-vous*, wczorajsi i jutrzejsi bojowcy pili bimber w barach. W tym była siła warszawskiej ulicy – w tym organizowaniu życia natychmiast, w każdej sytuacji – czego nie umiały inne miasta polskie.

Nie odmawiajmy więc i pozornej frywolności literackiej pewnych zalet. Literaci warszawscy mało służyli swoim słowem akcji bezpośredniej. To było za bliskie, trwające bez przerwy, forma załamywała się, nie unosiła tego ciężaru. Ale w utworach, niby nie na tematy aktualne, rzeczywistość wyrażała się z wielką siłą. Szukano sposobów zaatakowania jej podstępnie, z ukosa, unikając tych obrazów i przeżyć, które były niepotrzebne – bo dostarczało ich każde wyjście na miasto. Ironia Warszawy okrutnie pastwiła się nad utworami o walce stolicy, jakie docierały z Londynu.

I oto, w mieście prześladowanym jak rzadko które – powstają powieści i wiersze pełne humoru i ironii. *Sprzysiężenie* Józefa Rakowskiego (pseudonim znanego kompozytora awangardy muzycznej) przedstawia wiosnę, lato i jesień 1939 roku w sposób niby suchy i bezstronny, a w gruncie głęboko drwiący. Debiutant wojenny Stanisław Dygat pisze powieść o obozie cudzoziemców internowanych w Niemczech – pełną dowcipu i humoru. Jerzy Andrzejewski od opowiadań o terrorze, Oświęcimiu i rzezi ghetta przechodzi do satyr na pewne koła konspiracji warszawskiej. To kilka przykładów – listę można by znacznie rozszerzyć.

Powaga i surowość, teraz, kiedy trzeba Europę oczyścić z pozostałości długiej choroby – są konieczne. Naszą jednak jest rzeczą dbać o to, by powaga i surowość

Miłosz Refleksje warszawskie

moralna nie odjęła literaturze jej wielostronności i barwności. Sztuka lubi błazeństwo i czasem wielka sztuka jest świadomym błazeństwem, skierowanym ku ważnym celom. Pamflet, pastiche, użycie rekwizytów minionej epoki, udana naiwność – to są te delikatne a skuteczne bronie, przekazane przez tradycję. Dramatyzują one literaturę, są jeszcze jednym sposobem wyjścia poza krąg poezji czystej, ku złożonej treści dzisiejszego dnia.

Wierzę, że byłoby z pożytkiem dla literatury polskiej, gdyby powstały dwie szkoły literackie: jedna, surowa i poważna, wytyczająca granice, porządkująca chaos, i druga – w której wyraziłby się duch Warszawy – umiejącej o swoich bólach mówić z kpina. Warszawy zjadliwej, chcącej ocalać różę uśmiechu nawet wtedy, gdy płoną lasy. Życie w ciągu tych pięciu lat uczyło nas powagi. Doprowadziło nas do linii, oddzielającej je od śmierci – do linii, na której wszelkie słowo wydaje się wątlą ludzką igraszką w obliczu spraw elementarnych a mowa poetycka niepotrzebną poetycznością. Jeżeli mogliśmy zachować dla literatury odrobinę szacunku – to tylko przez zrozumienie jej roli względnej, jako narzędzia – tej roli, jaką przypisywali jej Wolter i Diderot. Niespodziewanie zaczęło nam w dziełach literackich podobać się to wszystko, co stanowiło dowód, że autora stać na igranie, że nie ma on w stosunku do swego utworu zbyt wielkiego pietyzmu, jednym słowem, że inteligencja jego okrąża utwór dookoła, panuje nad nim, a nie jest w nim zamknięta (Np. różnica między *Lalką* Prusa i *Popiołami* Żeromskiego!)

Aby zrealizować to upodobanie, w istocie bardzo stare i cechujące wszystkie epoki zbliżone do klasycyzmu – potrzeba rozluźnienia więzów, jakie nakłada dążenie do monumentalności, która, trawestując słowa Norwida, nie wchodzi nigdy tymi drzwiami, w których jej oczekiwaliśmy.

Te spostrzeżenia są dość osobiste i obejmują tylko część środowiska literackiego. Ale historia przepływa przez ludzi równocześnie i stąd rodzą się te spotkania w sympatiach i wstrętach łączące ludzi nawet oddalonych środowisk. Tak powstaje formacja kulturalna historycznego okresu. Po pożegnaniu Prousta (a raczej tego, co brano z Prousta), Huxleya, po przezwyciężeniu babraczy psychologii, wierzę, że spotkamy się wszyscy w kulcie dla prozy Balzaca, Tołstoja i Prusa, w kulcie dla Mickiewicza – klasyka i Browninga – „treściowego” i dramatycznego poety.

Trzeba zdać sobie sprawę z ogromu nieszczęścia, jakie dotknęło ludzi w czasie obecnej wojny. Pomińmy stratę najbliższych, długoletnią rozłąkę, ruinę domów, wosztatów pracy i przywyczażeń. Nieszczęściem równie dotkliwym jest nieprzygotowanie do nowych form życia, nagłe przebudzenie – a czy można budzić grzeszenie? Szczęśliwi są ci, co pracowali nad sobą w ciągu tych lat i nauczyli się odrzucać dawność, odradzać się w ciągłej młodości. W literaturze wymaga to uchwycenia treści dziejowego nurtu, spojrzenia na siebie dawnego jako na funkcję minionego okresu – wtedy bez przekreślania dawnych osiągnięć uzyskuje się materiał do świadectwa. Nieszczęśliwi są wszyscy, którym brakło ostrości widzenia, tej ostrości, jaką uzyskuje się przez namietność intelektualną. Nie mają oni umiejętności

rezygnacji ze swoich przywiązań w imię nowej pasji wyższego gatunku. Do nich zaliczyć można w pierwszym rzędzie tych, dla których dzieło literackie trwa jako istność oderwana, jako realizacja niemal metafizyczna. Mogą oni nauczyć się, jak się odpowiada na zamówienia społeczne – ale zawsze pozostanie niewypełniona przestrzeń między istotną twórczością – tak jak ją rozumieli, i literaturą doraźnie użytkową, jaką będą tworzyć, ulegając złudzeniu, że czytelnikowi naprawdę chodzi o literaturę doraźnie użytkową.

Z samego uczucia ludzkości należałoby usuwać to nieszczęście, pomagać i leczyć. Potrzebny byłby wielki zabieg chirurgiczny, polegający na powrocie wstecz, ku okresowi dwudziestolecia i na opowiedzeniu prawdy – bo tylko umiejętne rozłożenie ówczesnej komplikacji na składniki pierwsze pozwala zrozumieć dzisiejsze przemiany. Czytelnicy i autorzy przeżywają mocno wieść i pamiętnik z obozów śmierci. Ale ważne jest nie tylko to, co tam się działo – ważne jest również, jak doszło do powstania tych potwornych zjawisk w Europie. Czy rumiany profesor, śpieszący po wypiciu kawy ze śmietanką na wykład, nie miał tu swego udziału i czy modne tanga, stroje, popularne powieści nie zawierały usprawiedliwienia tego, co zaszło. Kto, niewinnie i lekkomyślnie, przygotował to swojemi rękami? Taka będzie najsilniejsza chyba z pozycji literatury – analiza źródeł i korzeni.

Instynkt pchał autorów piszących pod okupacją właśnie w tę stronę. Najwięcej niedrukowanych powieści, rozpraw i wierszy – to rewizja okresu między-wojennego, oglądanego w bezlitosnym zwierciadle, jakiego dostarczyła wojna № 2. Nieszczęśliwi ludzie muszą zobaczyć swoje nałogi i przywiązania w ich obiektywnym mechanizmie i skutkach.

(1945)